

Męska kondycja

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Dramat rodzaju męskiego to raczej melodramat, który niekiedy staje się zaledwie namiastką prawdziwej tragedii. W spektaklu Marcina Libera musimy się zadowolić rozpoznawaniem stereotypów. Chociaż ich wyśmianie ma swój niezaprzeczalny efekt terapeutyczny.

■ Podobnych spektakli, jak podejrzewam, będzie więcej. Czyli czeka nas więcej *Dramatów rodzaju męskiego* w obliczu tych licznych dramatów, które ów rodzaj obecnie przeżywa. Rzecz jasna, przeżywają je także wszystkie inne rodzaje, ale nadeszła chyba pora, aby przyjrzeć się uważnie tym męskim. Nic w tym szczególnie dziwnego. Kolejne fale feminizmu nie mogły nie spowodować potrzeby ponownego przemyślenia, kim właściwie jest, kim powinien być mężczyzna w tej nowej rzeczywistości. Bez cienia ironii mogę napisać, że pracy tu co niemiara. Zanim jednak przystąpi się do diagnoz i wyboru sposobów „leczenia”, należy „pacjenta” dokładnie zbadać. Zacząć więc wypada od opisu. Sprawozdania z kondycji współczesnego właściciela chromosomów X i Y. Zwłaszcza że temat to intrygujący, aktualny i nie zdążył się jeszcze publiczności znudzić. Stąd też zajmują się nim i będą zajmować różni artyści i artystki.

Podjął się tego wyzwania również Jakub Tabaczek, pisząc sztukę *Stulejka* w ramach piątej edycji Konkursu Dramaturgicznego „Strefy Kontaktu”. Chociaż nie zdobył pierwszego miejsca, przekonał Komisję Artystyczną Wrocławskiego Teatru Współczesnego, organizatora wydarzenia, do przyznania mu nagrody w postaci scenicznej realizacji sztuki. Warto zauważyć, że spektakle oparte na tekstach z wspomnianego konkursu są swego rodzaju loterią – częściej się nie udają, niż udają. Niekiedy zaś na myśl przychodzi gra w trzy kubki, gdyż opuszczając salę, czujesz się rozczarowany i oszukany. Tak było w przypadku wcześniejszej premiery, przedstawienia *Uwolnienie* na podstawie tekstu Zenona Fajfera, w reżyserii Kuby Kowalskiego. Wyjątkiem od tej

reguły na przestrzeni lat (bo kto by w ogóle „grał”, gdyby nie było żadnego wyjątku) stała się *Kobieta i życie* Maliny Prześlugi, wystawiona przez byłego członka zespołu teatru, Piotra Łukaszczyka. Zajmując miejsce na widowni, miałem nadzieję na kolejne odstępstwo od ogólnej zasady. I rzeczywiście tak się stało, choć nie jest to wyjątek tak wyraźny, jak bym sobie życzył.

W *Dramacie rodzaju męskiego* Liber stosuje podobny zabieg, co w zrealizowanej parę lat temu we Współczesnym *Rzeźni numer pięć*. Kreuje cały tłum identycznie ubranych postaci, tym razem w wyraziste dżinsowe stroje i białe koszulki. Zaludnia więc scenę sobowtórami kowboja Marlboro. W inscenizacji słynnej powieści Kurta Vonneguta był to sposób na zobrazowanie psychomachii rozszczepionej, porozrzućanej w czasie i przestrzeni jaźni głównego bohatera. Tutaj natomiast podkreśla, że bohaterów, o których mowa, jest legion. Każdy zaprezentowany tego wieczoru to zaledwie jeden z wielu możliwych przykładów.

Przedstawia nam ich już na wstępie, zapowiadając osiem historii, bardzo różnych i, jak się okaże, niepowiązanych ze sobą. Będą wśród nich bardziej poważne, jak opowieść o synu, który trzydzieści lat po tragicznym zaginięciu swojego ojca w górach, w dniu swoich własnych trzydziestych urodzin, wreszcie zobaczy rodzica... w bryle przezroczystego lodu. Z ust grającego go Rafała Cielucha pada jedna z najbardziej przyjmujących refleksji w całym przedstawieniu: „Mój zamrożony ojciec ma trzydzieści lat. Jest dokładnie w moim wieku. Patrzę na niego i widzę siebie. Jestem nim. On jest mną. Jesteśmy jednym. To ja leżę w tym lodzie, a on patrzy na mnie z zewnątrz. Lód

był we mnie przez całe moje życie. Czas nie istnieje”.

Większość pozostałych postaci została narysowana znacznie grubszą kreską, jak na przykład Ojciec o znikomej inteligencji emocjonalnej (to zresztą przypadłość niemalże całego rodzaju męskiego w tym spektaklu), który rozmowę z synem pt. „Co tam w szkole?” zamienia w prawdziwe przesłuchanie. Seans wychowania na „prawdziwego mężczyznę”, jak to często bywa z podobnymi seansami, kończy się prawdziwą traumą, która położy się cieniem na całe dorosłe życie ofiary pedagogiki opartej na systematycznym upokarzaniu. Scena z młodym mężczyzną ze stulejką, który przychodzi do Doktora, co ma motór, zbliża się do kabaretu. W pakiecie pomocy medycznej biedny chłopak dostanie nie tylko warsztaty z odpowiedniego tytułowania własnego przyrodzenia, ale także dość okrutny rytuał inicjacyjny, niezbędny, jak go zapewniają, dla każdego posiadacza „królewicza”. Czarnym humorem nasiąknięte są dialogi Histeryka-przemocowca z własną żoną, Kobieta bez złudzeń. Wystarczy powiedzieć, że awantura o kupę krem, na której tak zależy „weteranowi osiedlowych potyczek”, kończy się przywołaniem najbardziej drastycznych obrazów z *Oczyszczonych* Krzysztofa Warlikowskiego, wystawianych na tej samej scenie w 2001 roku.

Nie będzie to jedyny zastosowany przez Libera zabieg metateatralny. Reżyser od samego początku angażuje widza w swego rodzaju grę. Jest obecny na scenie poprzez wyświetlane na tylnej ścianie napisy. Często wygląda to tak, jakby na żywo komentował to, co przed chwilą zobaczyliśmy; innym razem przygotowuje nas do tego, co ma nastąpić. Najważniejsza jednak

WROCŁAWSKI TEATR
WSPÓŁCZESNY

**Dramat rodzaju
męskiego na podstawie
dramatu *Stulejka*
Jakuba Tabaczka**

opracowanie tekstu,
reżyseria
Marcin Liber
scenografia, kostiumy,
wideo
Mirek Kaczmarek
muzyka
sneaky jesus
choreografia
Hashimotowiksa

prapremiera
13 stycznia 2024

Scena zbiorowa



fol. Natalia Kabanow / Wrocławski Teatr Współczesny

wyduje się być sama współobecność, zapewnienie, że jest z nami, że temat jest mu bliski, na potwierdzenie czego dzieli się z publicznością swoimi intymnymi przeżyciami związanymi z pełnieniem roli ojca, syna i męża.

Poza tym reżyser zachęca nas, abyśmy dzięki odczytywanym didaskaliom wyobrazili sobie wystrój poszczególnych scen i dopowiedzieli okoliczności. Mirek Kaczmarek stworzył do tego przestrzeń przypominającą pustą śnieżno-białą kartkę papieru. Już po przedstawieniu dowiedziałem się, że trzy obecne na scenie elementy były sarkastycznym przetworzeniem znanego powiedzenia o tym, że prawdziwy mężczyzna powinien wybudować dom, posadzić drzewo i spłodzić syna. Ściana-parawan była fragmentem owego domu. Przypominająca dziwaczną instalację konstrukcja z wyschłych gałęzi miała przywoływać na myśl drzewo, a leżąca na proscenium pokracczna rzeźba – syna. Szczerze mówiąc, nie wpadłbym na to. Może dlatego, że rzeźba kojarzyła mi się raczej z samym rodzajem męskim. Była żalostną hybrydą, która sama nie mogłaby już zdefiniować, czym właściwie jest.

Nie miałem natomiast wątpliwości, że Liberowi udało się w pełni wykorzystać potencjał świetnego zespołu Wrocławskiego Teatru Współczesnego. Jego energia, której nie zabrakło podczas premiery, niesie ten spektakl. Za dodatkową akustykę emocjonalną i kolejny

gruby nawias ironii odpowiadał wprowadzony przez reżysera chór kobiet. Swoje dołożyły żywiołowe choreografie grupowe wykonywane do muzyki granej na żywo przez śmiało eksperymentujący z brzmieniem i żonglujący gatunkami muzycznymi zespół sneaky jesus (Matylda Gerber, Filip Baczyński, Maciej Forreiter, Benjamin Łasiewicki).

Pozostaje wszakże zasadnicze pytanie: czy próbę zmierzenia się z tematem przez Tabaczka i Libera należy uznać za udaną? Odpowiedź: tak i nie, z kilku co najmniej powodów. Przede wszystkim w tej mozaice brakuje jeszcze sporo istotnych fragmentów, co akurat łatwo wybaczyć ze względu na obszerność zagadnienia. Znacznie poważniejszym zarzutem jest nierówna jakość, nazwijmy to, merytoryczno-artystyczna poszczególnych historii. Ojciec, który wymawia nazwisko Houellebecqa jako „Chlebek”, bawi za pierwszym i drugim razem, ale za dziesiątym już znacznie mniej. Natomiast scena z Despotycznym Managerem, w której konflikt między pracownikami rozwiązano dzięki zawodom w szczekaniu na czworakach, wydaje się satyrą na korpo-feudalizm równie przesadną, co karykatury z radzieckiego czasopisma „Krokodil”. Te, na których gruby kapitalista zawsze jest w cylindrze i z cygarem w ręku.

Nic tu raczej nie zaskakuje. Twórcy dobierają i prowadzą historie tak, aby potwierdzały

one obraz mężczyzny jako istoty chronicznie chorej na psycho-emocjonalną stulejkę. To istota zakompleksiona, bojąca się wszystkiego „autentycznego i trwałego”. Wyznaje macyzm jako religię, z jego rytuałami i artefaktami. Niestety, to zakrawa na chwyt zwany w retoryce „słomianą kukłą”. Polega on na „wypaczaniu poglądów lub wypowiedzi oponenta, aby potem łatwiej je było zaatakować”. Stąd też poczucie, że zamiast tytułowego dramatu rodzaju męskiego dostajemy raczej melodramat, który niekiedy staje się zaledwie namiastką prawdziwej tragedii. Zamiast pogłębionymi przemyśleniami, musimy się zadowolić rozpoznawaniem stereotypów. Chociaż, przyznam, że wyśmianie tych ostatnich ma swój niezaprzeczalny efekt terapeutyczny.

Ze spektaklu nie dowiemy się również, co sprawiło, że przedstawiciele płci męskiej odznaczają się obecnie tak marną kondycją. Chyba że zakłada się, że zawsze tak było, a przed szorstkimi głosami krytyki chroniła ich patriarchalna cenzura? Dopiero pod sam koniec Liber próbuje dowodzić, że każda z przedstawionych opowieści mogła się potoczyć inaczej. To prawda – mogła, zawsze może. Nierozstrzygniętym pozostaje, skąd czerpać siły, wiedzę i wolę, żeby urzeczywistnić ten lepszy scenariusz. Ale o tym, mam nadzieję, dowiemy się więcej w kolejnych podobnych spektaklach. ■